

Andrzej
BART

**Śmierć
głośna,
śmierć
cicha**

THRILLER

 **Książki Młyn**
DOM WYDAWNICZY

Andrzej **BART**

Śmierć głośna, śmierć cicha

Andrzej BART

**Śmierć
głośna,
śmierć
cicha**

REDAKTOR PROWADZĄCY

Teresa Łozowska

REDAKCJA

Dominika Kawczyńska-Wojtuś

KOREKTA

Emilia Baranowska

PROJEKT OKŁADKI

Sławomir Iwański

ZDJĘCIE AUTORA NA OKŁADCE

Czesław Czaplński

SKŁAD

Tomasz Kuc

© Copyright by Andrzej Bart 2022

© Copyright for this edition by Księży Młyn Dom Wydawniczy 2022

Powieść w pierwotnej wersji była drukowana w „Tygodniku Angora”.

Drogi Czytelniku

Książka, którą trzymasz w dłoni, jest efektem pracy autora, zespołu redakcyjnego, grafików i wydawcy. Prosimy, abyś uszanował ich pracę.

Nie kopiuj większych fragmentów, nie publikuj ich w internecie.

Cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści i zawsze podawaj ich źródło.

Dziękujemy.

ISBN 978-83-7729-688-2

WYDAWCA

KSIĘŻY MŁYN Dom Wydawniczy Michał Koliński

90-345 Łódź, ul. Księży Młyn 14

tel./faks 42 632 78 61, 42 630 71 17, 602 34 98 02

infolinia: 604 600 800 (codziennie 8-22, także sms), gg 414 79 54

www.km.com.pl; e-mail: biuro@km.com.pl

WSPÓŁWYDAWCA

Łódzka Specjalna Strefa Ekonomiczna S.A.

90-349 Łódź, ul. Tymienieckiego 22/24

Łódź 2022. Wydanie 1

Andrzejowi Jaskólskiemu
łodzermenszowi

*Śmierć głośna – śmierć cicha, jedno wywołuje drżenie
Ta pierwsza wojną pachnie, tumultem wszelakim
Druga owszem, przestraszy, ale da nadzieję
Na przyszłą sprawiedliwość i boskie wyroki
Znana jest też śmierć trzecia, i cicha, i głośna
Zbrodnia za nią stoi*

SONIA MILLAR

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Tej nocy Wiktor Stern dwukrotnie postanowił zrezygnować z kobiet w swoim życiu i dwukrotnie uznał to za niepotrzebną brawurę. W końcu stanęło na danej sobie obietnicy, że przestanie się nimi nadmiernie interesować. „Będę pisać w leśniczówce – myślał – a »Kurier« niechże przysyła gońca do lasu po kolejny odcinek”. Jaka noc nadaje się bardziej do podobnych deklaracji, jeśli nie ta kończąca stary rok i zaczynająca nowy.

– Nigdy nie byłam w piękniejszym miejscu. Jesteś kochany, że mnie ze sobą wziąłeś – Marta jeszcze raz wyśpiewała kwestię powtarzaną od chwili, kiedy zostawili płaszcze w szatni. – Tu chyba jest cała Łódź, mam rację? – Tym razem, aby podkreślić, jak bardzo jest wdzięczna, oparła głowę na ramieniu Wiktora.

Zarumieniona, z błyszczącymi oczyma, patrzyła na zastawione stoły i eleganckie towarzystwo.

Poznał Martę przed tygodniem w sklepie z czekoladkami na Przejździe. Była tak ładna i sprzedawała je z takim wdziękiem, że postanowił zrobić kawał losowi przeznaczonemu takim jak ona. Zaczął od dentysty. Doktor Danielewicz wstawił jej ząb, który, jak twierdziła, straciła nie przez zaniedbanie, lecz przez cios zadany ręką ojczyma.

– Nie chciał tego, po prostu przewróciłam się niefortunnie – tłumaczyła.

Potem wizyta u Madame Bubi, która dwa razy w roku jeździła do Paryża i skrzętnie kopiowała najnowsze wzory. To, co potem dodawała od siebie, sprawiało, że plutokracja łódzka ustawiała się do niej w kolejce. Madame Bubi miała słabość do Wiktora, od kiedy jako pierwszej wyjawił jej, czym się skończy romans bohaterów jego powieści. Zamówionej wcześniej sukni nie odebrała wdowa po mecenesie Rogozińskim, gdyż krótko przed sylwestrem poszła w ślady męża. Wiktor nie musiał nawet płacić za wypożyczenie, byleby kreacja wróciła do zakładu niezniszczona. Po małych poprawkach Marta wyglądała w niej, jakby urodziła się na sali balowej. Nie pamiętał już, która z jego przyjaciółek zostawiła u niego rękawiczki do łokcia. Pasowały jak ulał.

– Jeszcze nigdy nie miałam tak długich rękawiczek – zachwycała się Marta. Wykosztował się tylko na buty, lecz czerwone pantofelki od Płonki z Piotrkowskiej 111 wspaniale dopełniały całości.

Kiedy weszli na salę w Tabarinie, wszystkie głowy odwróciły się w ich stronę. Wiktor zobaczył zazdrość w oczach zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Wiedział już, że stworzył dzieło sztuki.

Goście wokół dużego stołu, przy którym ich posadzono, zostali wybrani według starannie przemyślanego klucza. Trzech

przedstawiciele łódzkiej palestry, dwóch lekarzy, w tym dyrektor szpitala i aktorka z mężem bankierem. Bank był bliski bankructwa, lecz słowo *bankier* ciągle wzbudzało szacunek. Najbliżej Wiktora i Marty siedział nieduży mężczyzna z barwnym kotylionem wetkniętym w kieszonkę marynarki. Mecenaz Krawczykiewicz był wziętym łódzkim adwokatem. Jego żona Halina, kobieta potężnej postury, jak zwykle zajmowała dwa krzesła. Krawczykiewicz szczególnie zaimponował miastu, kiedy w Teatrze Małym wstawiono dla jego małżonki podwójny fotel do pierwszego rzędu. Pani Halina mimo swojej fizycznej potęgi była osobą pogodną i, jak zauważył Wiktor, tylko ona powitała Martę z uśmiechem. Nieco dalej siedział notariusz Depski, którego nazwisko z lubością przekręcano na Dupski. Opowiadano o nim, że przyłapany *in flagranti* z gimnazjalistą, wykupił się ofiarowaniem jego rodzicom jednej z trzech swoich kamienic na ulicy Widzewskiej. Oczywiście dodawano też zaraz, że cała sprawa na pewno była ukartowana przez ciotkę gimnazjalisty, która przybyła do Łodzi z Odessy.

– Czy to prawda, że pisarze muszą sami przeżyć wszystko to, co opisują? – zapytał Depski, ośmielony szybko opróżnianymi kieliszkami. – Przekazuję pytanie żony, która jest bardzo nieśmiała.

Wiktor uśmiechnął się do pani Depskiej, a ona odwzajemniła uśmiech. Przyjemna blondynka w bordowej sukni nie wyglądała na nieśmiałą.

– Jeśli nie wszystko, szanowna pani, to na pewno dużo. Gdybym jednak opisywał mordercę, to musiałbym poznać kogoś takiego.

– Pańskie opisy kobiet są tak prawdziwe... Musi pan znać ich wiele...

– Jesteś pisarzem? – szepnęła mu do ucha Marta.

– Nazywam się Sienkiewicz. Musiałś o mnie słyszeć...

Na twarzy Marty pojawiło się miłe jego sercu myślenie.

– Żartujesz sobie. Przecież on nie żyje...

Czy Wiktor Stern był pisarzem? Na pewno bardzo chciał móc się tak kiedyś nazwać. Powieści drukowane w odcinkach przyniosły mu pewną sławę i jeszcze większe pieniądze. Jego garsoniera na Brzeźnej została sfotografowana i opisana w „Tygodniku Ilustrowanym” jako jedno z najładniejszych mieszkań w Polsce. A jednak gardził swoją popularnością i jakby się jej wstydił. Dla przyjaciół był człowiekiem piszącym dzieło życia, mające odmienić nie tylko polską literaturę.

Na parkiecie królowała Lena Orlov ze swoim mężem, królem zazdrośników, jak mówili złośliwi. Orlov, olbrzymi mężczyzna o potężnej tuszy, znany był z tego, że dużo od niego w mieście zależało, a słowo *dużo* miało w Łodzi wagę szczególną. Mawiał o sobie ze śmiechem, że jest baronem kurlandzkim, gdyż w dzieciństwie chciał kupić Kurlandię. Jednak nie tylko dlatego nazwisko Orlov wypowiedano z szacunkiem. O Lenie mówiono tylko, że jest najpiękniejsza w mieście.

Lena natychmiast dostrzegła poruszenie, jakie wywołało wejście Marty, a jednak nic nie wskazywało, że ją to cokolwiek obeszło. Jeżeli ktoś ją dzisiaj interesował, to tylko Wiktor. Tak bardzo wykręcała się w tańcu, aby ściągnąć na siebie jego wzrok, tak często podprowadzała partnera, aby być blisko, że nie tylko zazdrosny mąż musiałby to zauważyć. Pewnie dlatego Orlov odwrócił żonę plecami do Wiktora i przechylił tak, że jej włosy dotknęły podłogi. Wtedy bacznie mu się przyjrzał i nie było to spojrzenie z gatunku *wszystkiego najlepszego w Nowym Roku*. Wiktor na wszelki wypadek także zakręcił swoją partnerką i pozwolił, żeby to Marta stawiała czoło męskiej niechęci. Nie mógł już tego widzieć, lecz mina Orlova zmieniła się w jednej

chwili. Przy dźwiękach *La Cumparsity* gromowładny olbrzym stał się obleśnym wujkiem, który obiecuje dużo siostrzenicze przystępującej do bierzmowania. Na szczęście orkiestra przestała grać.

Kurtyna odsłoniła zegar, wskazujący, że do północy zostało jeszcze tylko pięć minut. Na estradę wybiegły girlsy, które ze swoich ciał próbowały utworzyć żywe cyfry. Najłatwiej poszło z jedyneką, bo wystarczyła do tego jedna tancerka, za to najwyższa. Stała wyprostowana na scenie, wyciągając przed siebie lekko opuszczone ręce. Wypisz, wymaluj jedynekę. Nad dziewiątką trudziły się już we trzy, z trójką też nie poszło łatwo. Budowanie ostatniej cyfry pachniało nawet kompromitacją, a goście zaśmiewali się z udanej nieudolności artystek. Aby uspokoić publiczność, na scenę wyszedł konferansjer o wyglądzie starego lwa. Wiktor znał go z widzenia, bo obaj jadali na mieście późne śniadania. Po kolejnym zaczęli się nawet pozdrawiać ukłonem i wymieniać gazetami.

Konferansjer udawał teraz, że nie może otworzyć butelki szampana i w manierze Weretyńskiego mruczał pod nosem coś o roku, który skrada się w ciemności, ale kiedy już przyjdzie, przyniesie wszystkim szczęście i miłość. Wielki zegar kończył odliczać sekundy. Punktualnie o dwunastej konferansjerowi udało się strzelić korkiem, orkiestra zagrała tusz i wszyscy na sali poczęli się obejmować i życzyć sobie, aby ten rok był jeszcze lepszy od poprzedniego. Marta całowała Wiktora z tak piękną wiarą w swoje odmienione życie, że i on postanowił uwierzyć w urodę roku, który się właśnie rozpoczął.

Tancerki stały na scenie w utworzonej ze swoich ciał figurze, która obwieszczała, że oto nadszedł rok

TYSIĄC DZIEWIĘĆSET TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY.

Posterunkowy Makuch podniósł do ust prawą ręką szklanę z herbatą. Po chwili powtórzył gest lewą ręką. Przyjemne ciepło ogrzało mu dłonie. Na Nawrocie, w knajpie starego Szczygła, jak zwykle panował zaduch, uszlachetniony dzisiaj zapachem tanich perfum. Mimo sylwestra goście ci sami co zawsze, kilku drobnych rzemieślników, kilku drobnych złodziei i paru alfonsov. Wśród nich królował Kocemba, duży cwaniak, który jeszcze nigdy nie siedział, choć Makuch wiedział wszystko o jego przewałach na Wodnym Rynku. Jednak wiedzieć, a udowodnić to w policji dwie różne kwestie. Może dlatego Makuch przeżył w życiu tylko jeden awans, a Kocemba, przystrojony w muszkę w czerwone grochy, pozdrowił go teraz podniesionym w górę kieliszkiem.

– Dla stróżów prawa po małym kieliszeczku na koszt firmy. Mróz na dworze, więc rozgrzać się trzeba... – Szczygiel postawił na ladzie dwa kieliszki i pobiegł do innych gości, jakby nie przyjmując odmowy. Aspirant Jankowski spojrzął z pewnym wyczekiwaniem na kieliszki, ale wystarczyło ściągnięcie brwi Makucha, aby zaczął rozglądać się po sali. Ostatecznie byli na służbie, a obchód rewiru to służba szczególnie odpowiedzialna.

Trzech starych muzyków, sprowadzonych przez Szczygła na jedną noc, dokonywało cudów, mimo że grający na bębnie nie miał jednej ręki. Kobiety, których było więcej niż zwykle, wyglądały piękniej niż zwykle. Nawet najstarsza w Łodzi burdelmama, która lubiła opowiadać, że w pieluchach porwano ją z hrabiowskiego domu, mogła dziś uchodzić za osiemdziesięciolatkę. Makuch skinął jej głową uprzejmie, a Hrabina promiennie się do niego uśmiechnęła. Siedziała obok Karola zwanego Młotkiem, który swoje ofiary uderzał młotkiem właśnie, lecz tak umiejętnie,

że jeszcze nikogo nie zabił. Był jednym z ważniejszych dla policji konfidentów i – jak na konfidenta przystało – odwrócił się z pogardą od dwóch policjantów stojących przy szynkwasiu.

– Ugrzałeś się? To w drogę... – Makuch położył monetę na cynkowym kontuarze i wyszedł na mroźną ulicę. Jankowski ruszył i zamknął za nimi drzwi.

Miasto było spokojne, gdzieniegdzie śpiewy, głośnie rozmowy, lecz żadnych kłótni. Minęli dwie pary, samotnego mężczyznę z balonikiem i trzy roześmiane kobiety, za którymi podążało trzech mężczyzn. Po wzajemnych docinkach można było wnioskować, że dobrze się znają.

Stojący przed komisariatem samochód jako pierwszy zauważył Jankowski. Obaj wiedzieli, że przyjechał ktoś ważny. Kiedy podeszli bliżej, szofer nawet na nich nie spojrział. Spał z otwartymi ustami, otulony kożuchem. Chociaż Jankowski odnotował obecność pojazdu przed Makuchem, to ten drugi bił go na głowę, jeśli chodzi o rejestrowanie szczegółów. Z daleka dostrzegł paczkę, leżącą na schodach komisariatu.

Michał Burski wpatrywał się w długą pomalowaną na biało szafę. To właśnie z niej jego pierwszy przełożony, starszy posterunkowy Winkler, wyjął broń i podał mu ją ze słowami:

– Opiekuj się nią, chłopcze, jak matką, bo inaczej wyrwę ci dwa zęby.

Od tego czasu minęło dziewięć lat, podczas których podkomisarza Winklera z honorami wojskowymi odprowadzono na Stary Cmentarz, a Michał był już najmłodszym komisarzem nie tylko w Łodzi. Może dlatego ucieszył się z noworocznego dyżuru na śródmiejskim posterunku, który był jego pierwszym

policyjnym domem. Znał tu każdy kąt, a dwóch funkcjonariuszy, pamiętających go z tamtych lat, dobrze go wspominało. Drugą przyczyną radości, w którą aż trudno uwierzyć, była niechęć do odpowiadania na pytanie matki, z kim pójdzie na zabawę sylwestrową. To zawsze kończyło się biadoleniem, czy biedna wdowa zdąży przed śmiercią poznać przyszlą synową.

Noworoczne wspomnienia pierwszy zaczął plutonowy Walczak, który brał wszystkie dyżury, bo niedawno urodziło mu się trzecie dziecko.

– Pamiętacie złodzieja, który w zeszłym roku sylwestra nie uszanował? Trzy mieszkania zdążył okraść i to w pojedynkę!

– Gdzie tam w pojedynkę... W zaparte szedł, żeby kumpli nie sypać. – Zdanie wygłoszone przez starszego posterunkowego Szpunara zagłuszyło potężne trzaśnięcie drzwiami do komisarjatu.

Drzwi do sali gwałtownie się otworzyły. Zamiast Makucha i Jankowskiego, którzy powinni kończyć obchód, stanął w nich wysoki mężczyzna w smokingu i z przekrzywioną muszką. Na jego widok policjanci zerwali się na równe nogi, a Szpunar nawet przewrócił krzesło. Trudno się dziwić, bo we własnej osobie objawił im się sam nadinspektor Eugeniusz Poreda.

– Czołem, koledzy!

– Czołem, panie nadinspektorze!

– Nie obawiajcie się, to tylko najzwyczajniejsza w świecie kontrola waszych poczynań. – Rubaszny śmiech Poredy przypominał huk wodospadu.

– Czy inne komisariaty spotkał podobny zaszczyt, panie nadinspektorze? – spytał z uśmiechem Michał.

– Tylko wasz, śródmieście. Starszy posterunkowy, nie widzę żadnym ozdób. Tak się u was wita Nowy Rok?

– Nie było instrukcji, panie nadinspektorze!

– Czekacie na instrukcje...? W zasadzie to właściwe podejście. Przedstawię was do awansu. Albo nie, osobiście dopilnuję, abyście dostali pismo w tej sprawie. Przypomnijcie mi wasze nazwisko, Szonert?

– Szpunar, panie nadinspektorze.

– Ładne nazwisko, bardzo ładne.

Poreda skinął na Michała łobuzerskim gestem. – Zapraszam do gabinetu komendanta. Naradzimy się... Posterunkowy, czy mogę skorzystać z gabinetu komendanta?

– Pan komendant na pewno będzie zaszczycony, panie nadinspektorze!

Przeszli do skromnie urządzonego pokoju, w którym było tylko biurko i dużo szaf.

– Doprowadź się do porządku. Obiecałem wojewodzie, że cię przyprowadzę. Jest w dobrym humorze. Może razem coś utargujemy dla policji.

– Jestem na prawdziwej inspekcji, panie nadinspektorze. Czy mogę opuścić posterunek?

– To rozkaz. Gdzie są szklanki?

Były w tym samym miejscu, w którym trzymał je przed laty starszy posterunkowy Winkler. Michał otworzył szerzej drzwi jednej z szaf i przejrzał się w lichym lusterku, przymocowanym po ich wewnętrznej stronie. Zobaczył trzydziestodwuletniego mężczyznę o podkrążonych oczach i niewesołej minie.

– Mam się ogolić?

– Tylko migiem, bo szoferowi dupa zamarnie. – Poreda wyciągnął piersiówkę i nalał do dwóch szklanek. – Wypijmy za nowy rok! Niech nie będzie taki zły, jak mówią na mieście.

Kiedy stuknęły się szklankami, do pokoju bez pukania zajrzał Szpunar.

– Wrócili chłopaki z obchodu...

– Dzielni, bardzo dzielni. – Poreda przypatrzył mu się z zainteresowaniem. – Jest jakiś powód, że nam o tym mówicie?

– Przyniesli paczkę, którą ktoś położył na schodach komisarjatu...

– I co?

– Wygląda podejrzanie.

– Podrzucone dziecko. W sylwestra! Tego nam tylko brakowało... – Poreda poczerwieniał na twarzy ze złości.

– Za ciężkie na dziecko...

Michał wybiegł szybko z pokoju. Poreda podążył za nim bez pośpiechu. Policjanci otaczali stół, na którym leżała paczka przewiązana czerwoną kokardą. Plamy na białym papierze także były czerwone. Poreda natychmiast wytrzeźwiał i przejął komendę.

– Podłóżcie jakieś gazety... I dajcie nożyczki... Albo nóż... – Osobiście przeciął kokardę i końcem ostrza próbował rozsunąć kolejne warstwy papieru. Szło ciężko, więc zdecydował się go przeciąć. Oczom mężczyzn ukazała się damska noga, ucięta wysoko przy samej pachwinie. Z pończochą, a nawet żabką i śladem odcisniętej podwiązki. Na stopie był elegancki pantofelek z czerwonego zamszu.

Jeżeli Sonia Millar czegoś nie lubiła, to bycia chwaloną za urodę. Wielu adoratorów poległo na podobnych komplementach. Jej wspaniałe rude włosy przyciągały spojrzenia nie tylko miłośników sztuki, a kiedy się uśmiechała, uśmiechała się cała ulica. Może dlatego miała najczęściej poważną minę. Wiktor twierdził, że wygląda jak Veronica Veronese z obrazu Rossettiego. Nie obrażała się za to. Jednym jawiła się jako miła dziewczyna, która nigdy się nie wywyższa, inni uważali ją za nieprzystępną.

– Jesteś za skromna, jeśli już nie chcesz grać na pianinie, to chociaż wymyśl proch – mawiał trochę złośliwie jeden z wujów.

– Wymyślenie prochu pozostawiam tobie, wujku – odpowiadała. – Jeśli tylko ciocia pozwoli ci na takie fanaberie.

Rodzina Millarów przyjechała do Łodzi dawno. Można powiedzieć, że byli tu jednymi z pierwszych, jednak prawość lub niezaradność, jak twierdzili wrogowie, nie pozwoliła im dorobić się fortuny. Dwukrotnie bankrutowali i dwukrotnie ich fabryka, a może bardziej fabryczka, wracała do życia. Jan Millar kazał po polsku wymalować na ścianie gabinetu słowa: *Uczciwość ponad wszystko*. Zdanie brzmiało ryzykownie w mieście, w którym w cenie było zrobienie dobrego interesu niezależnie od użytych środków. Może dlatego mieli przy fabryce na Łąkowej willę, którą w porównaniu z pałacami można było nazwać chałupką. Jak twierdziła mama Soni, mogli się też pochwalić dobrym gustem, lecz tylko na tle łodzian twierdzących, że gust można kupić za niewielkie pieniądze.

Tak jak przypuszczała, przyjęcie noworoczne w ich domu nie tylko zapowiadało się nudnie, lecz i było nudne. Niemieccy wujkowie, ciotki i kuzynostwo nie chcieli rozmawiać o niczym, co by ją interesowało. „Dlaczego ludzie nie chcą korzystać z rozumu? Przecież Bóg ich stworzył na podobieństwo swoje”. Jednak te i podobne myśli długo jej nie zajmowały, bo trzeba było z uśmiechem chodzić z mamą między gośćmi i czynić honory domu. Ojciec nie miał dzisiaj humoru i nie zważając na obowiązki gospodarza, stał tyłem do wszystkich, wpatrując się w ciemność ogrodu. Podeszła do niego i pogłaskała rękaw marynarki. Uśmiechnął się do niej i objął ramieniem. Stali tak chwilę, ale dołączył do nich wuj Helmut w papierowym kapelusiku zrobionym przez wdowę po radcy Helbigu. Jak plotkowano, zagięła parol na starego kawalera, o którego bezskutecznie starało

się już kilka łódzkich wdów. Sonia lubiła wuja, bo od lat cierpliwie, choć bezskutecznie, starał się na wzór angielski założyć w mieście klub opiekujących się bezpańskimi zwierzętami.

– Mnie też się nie chce wierzyć, że to będzie dobry rok – powiedział cicho Helmut.

– Trzeba przynajmniej mieć nadzieję...

Sonia czuła, że za optymizm w głosie ojca nie kupiłoby się nawet paczki junco.

– Przecież to wariat...

– Chyba nie macie na myśli Hitlera? – Ciotka Eliza po raz kolejny potwierdziła, że słyszy wszystko. Ubrana była w odświętną suknię, w której Sonia pamiętała ją od zawsze. „Ceruję ją sama, aby uczyć służbę, czym jest oszczędność”.

– Mówimy o ogrodniku.

– Uważacie, że jestem głupia? – W głosie ciotki Elizy nie było jeszcze irytacji, lecz obaj mężczyźni wiedzieli, że lepiej do niej nie dopuścić.

– Skądże, droga Elizo – powiedział ugodowo Millar. – Po prostu w tym domu nie wymawia się chętnie nazwiska tego pana.

– Jakże to tak, przecież to nasz kanclerz... – Zdziwienie w głosie ciotki było najprawdziwsze.

– Nie mój w każdym razie.

– Nie czujesz się Niemcem?

– Na pewno nie do tego stopnia, aby być dumnym z tego człowieka.

– Nie zauważyłaś, że urodziliśmy się w Łodzi, która jest w Polsce? – Ku zdumieniu Soni, wuj Helmut ośmielił się wejść w dyskusję z Elizą, znaną z apodyktycznych sądów.

– Ale to nasi dziadowie stworzyli to miasto. Przywieźliśmy tu kulturę, niemiecką kulturę... – Eliza lekko poczerwieniła, a to nie wróżyło dobrze.

– Mój dziadek przyszedł tu zimą pieszo. Cały dobytek miał na sankach. Sanki ciągnął pies, przynaję, niemiecki... I nie wioził tu kultury, tylko krosno i dwie ręce.

Sonia wielokrotnie słyszała te słowa ojca i zawsze była dumna, że pamięta o rodzinie tkaczy, którzy przybyli do Łodzi z własnym warsztatem na plecach.

– Ale nie zaprzeczysz, ręce były niemieckie... pracowite... – Ciotka Eliza lubiła mieć ostatnie słowo.

– Przepraszam was, muszę negocjować. – Jan Millar uśmiechnął się do Elizy i zrobił krok w kierunku reszty gości. – Luscia chyba chce nam zaśpiewać...

Sonia знаła ten uśmiech, ojciec kończył nim każdą rozmowę skończoną dla niego. Pretekst, który mu się trafił, był idealny. Ciotka Luscia rzeczywiście zapragnęła wystąpić i nikt nie mógł jej od tego odwieść. Jej pytanie, czy ma zacząć od *Pstrąga* czy *Króla Olch*, było pytaniem retorycznym, bo zawsze rozpoczynała *Pstrągiem*, który w jej wykonaniu wił się w strumieniu jeszcze żywiej, niż chciał tego Schubert. Jeśli Eliza słyszała wszystko, to Luscia głuchła niestety i wraz z postępującą utratą słuchu chciała jak najszybciej uwinąć się z każdym utworem. Akompaniujący jej mąż robił wszystko, aby nadażyć za nią i o dziwo przestał robić miny przy każdym nietrafionym tonie żony. „Oto, czym jest prawdziwa miłość” – pomyślała Sonia i szybko przeszła do błękitnego salonu, w którym zebrała się młodzież. Ze swoją trzydziestką na karku od razu poczuła się jak matrona.

Jej kuzynki po kądzieli, Rita i Helena, uroczę bliźniaczki, słuchały z rozmarzonymi minami siedemnastoletniego Manfreda. W rodzinie tylko Sonia umiała je odróżnić, po prostu zauważyła lekki tik w kąciку ust Rity. Manfred, przystojne chłopczysko, wnuk ciotki Lusi, był tak samo szybki jak babcia. Tyle że rozprawiał się ze światem.

– Jeśli wybuchnie wojna, natychmiast zgłoszę się do wojska. Mogę być młodszym oficerem w Kriegsmarine – perorował i wspinał się na palce. Gdyby mógł, wszedłby na krzesło.

– Przecież w Łodzi nie ma morza. – Mimo rozmarzonej miny Rita wykazała się bystrością.

– Myślisz, kuzyneczko, że wojsko to szkoła za rogiem? Wojsko to świat, a zwycięskie wojsko to cały świat...

– Pewnie umiesz już strzelać.

– Oj, Rito, Rito. Nasza klasa trzy razy w tygodniu ma zajęcia na strzelnicy. Chcesz wiedzieć, kto jest najlepszy?

– Pozwolisz, że odgadnę, Manfredzie – Sonia nie mogła już wytrzymać tego gadania. – Może Hans Schilke?

– Drażnisz się ze mną, ciociu.

– Do dwóch trafień. Max Ogiński?

– To okropne, jak mnie traktujesz. Trafiam w głowę sylwetki z trzydziestu metrów.

– Papierowej mam nadzieję.

– Oczywiście, ale zapewniam, że tak samo trafię w każdą głowę wroga rasy aryjskiej.

– Jakiej? – zacięła się Helena.

– Aryjskiej. To rasa, do której należą wszyscy Niemcy.

– My też?

– Jak mówię wszyscy, to wszyscy.

– Masz już upatrzonego wroga? Może nauczyciel biologii?

– Kobieto, puchu marny, ty wietrzna istoto... – W spojrzeniu chłopaka było rozżalenie, ale i politowanie.

– Nie chcę ci psuć Nowego Roku, ale cytujesz Mickiewicza. Też będziesz do niego strzelał?

– On już nie żyje. – Manfred odwrócił się do nich plecami i szybko odszedł.

Nie wiadomo skąd wzięła się przyjaźń między Sonią Millar, Wiktorem Sternem i Michałem Burskim. Mimo że przytrafiła się w mieście zrodzonym z ludzkiej różnorodności, to przecież i w nim była dziwolągiem. Bo jak to możliwe, aby młody pisarz żydowskiego pochodzenia, panna z dobrego niemieckiego domu i policjant, którego nieżyjący ojciec był tramwajarzem, trzymali się razem przez wiele lat.

Do dzisiaj żyje tylko czworo świadków, którzy ich znali. Urodzona w 1930 roku Monika Müller, mieszkająca w Saarbrücken, utrzymuje, że znajomość Soni z Burskim zaczęła się wcześniej, kiedy to piętnastoletnia panna uratowała tonącego Michała na Stawach Jana. Opowieść pani Müller brzmiałaby prawdopodobnie, gdyby nie odnaleziona w „Głosie Polskim” wzmianka, że dwunastoletni Michaś Burski wygrał wyścig pływacki na dystansie czterystu metrów stylem motylkowym. Byłby więc potem tonął w Stawach Jana? Co prawda nie można wykluczyć, że chłopiec, który będzie w przyszłości policjantem, udał tonącego, aby poznać piękną dziewczynę.

Pan Jerzy Wiaderkiewicz z ulicy Okopowej twierdzi z kolei, że to jego ojciec poznał dwudziestopięcioletnią Sonię z Wiktorem Sternem, który wydał właśnie wzruszającą powieść: *Kobieta osobista*. Podobno Wiktor z Sonią czytali fragmenty tej książki i zaśmiewali się do rozpuku. Nie brzmi to przekonująco, bo czy ktokolwiek słyszał o pisarzu śmiejącym się z własnego dzieła? I to w towarzystwie młodej kobiety? Chociaż może właśnie tak wykuwa się prawdziwa przyjaźń?

Z czego jednak by się to nie brało, troje ludzi związanych było ze sobą niewidzialną nicią. Latem spotykali się w każdy wtorek na dachu sąsiadującej z Grand Hotelem kamienicy,

która należała do jednego z wujów Soni. Sonia jako gospodyni przychodziła tam pierwsza i rozkładała leżaki. Michał wpadał drugi, co przyjaciółka natychmiast wykorzystywała do zabawy jego służbową beretką kaliber 9 mm.

– To wbrew wszelkim przepisom, ale jakoś nie mogę ci odmówić. Tak się wymienia magazynek... – tłumaczył.

Ostatni przychodził Wiktor Stern, wynagradzał to dużą liczbą plotek z całego świata. Uprzedzał zresztą lojalnie, że niektóre wymyślił w porannej wannie.

– Zgadujcie. Göring wraca w lutym do Białowieży po nowy order! Prawda to czy fałsz?

Siedząc i żartując ze świata widzianego z góry, opowiadali o wszystkim, co przez tydzień wydarzyło się w ich życiu i w Łodzi. Patrzyli na setki wysokich jak wieże kominów, których dymy tworzyły na niebie groźne widowiska. Przyglądali się miastu pod nimi, które zdawało się oddychać ciężko i rytmicznie niczym ranny łoś. Porównanie do rannego łośa było dziełem Soni, upierającej się, że jeszcze raz przetłumaczy *Hamleta* i wtedy nie będzie już łośa.

W chłodne dni spotykali się w „Café de la Paix”, bo właśnie tam, jak obliczył Michał, posługując się cyrklem i planem miasta, wszyscy troje mieli najbliżej ze swoich domów. Nie tylko więc zimną kawiarnia starego Barucha Karo była dla nich osobną planetą w mieście.